

JAN NOWICKI (1939-2022)

NICZEGO NIE UDAWAŁ

Lubił się drażnić, prowokować, wsadzać
kij w szprychy. I czekał na efekt, jaki
wywołają jego słowa

TEKST JACEK TOMCZUK

Miał dystans do siebie jako aktora i człowieka, a jednocześnie był w swoich decyzjach aktorskich i życiowych bardzo odważny. O takich typach jak on mówi się: ten się Boga nie boi – mówi przyjaciel aktora, reżyser Andrzej Domalik.

– Podczas spektaklu potrafił szepnąć na scenie: „Ale się nudzę, kiedy to wreszcie się skończy”. Lubił grać, ale czasami go po prostu męczyło i kompletnie tego nie ukrywał. Z naszego zawodu nie robił żadnej misji – dodaje aktor Edward Linde-Lubaszenko.

Jan Nowicki zmarł nagle w wieku 83 lat w swoim domu w Krzewencie koło rodzinnego Kowala na Kujawach.

ZAWÓD NIEMĘSKI

BYŁ WIELKIM AKTOREM: U WAJDY MIOTAŁ SIĘ W GNIEWIE jako Wielki Książę Konstanty w „Nocy listopadowej”, ale też potrafił być współczesnym szulerem w „Wielkim Szu”, onirycznym Józefem w „Sanatorium pod Klepsydrą” i złamanym człowiekiem sukcesu, który dowiaduje się, że jest śmiertelnie chory, w „Spirali”.

Do aktorstwa miał stosunek dość niejednoznaczny. Od lat narzekał, że to zawód niemęski, mało poważny, nie przystoi prawdziwemu facetowi. Zwierzał się, że tak naprawdę zmarnował życie na granie, zamiast robić coś ważnego.

Andrzej Domalik jako debiutujący reżyser zatrudnił go do filmu „Zygfryd”. Była połowa lat 80. Nowicki był u szczytu popularności po „Wielkim Szu”, który zrobił z niego masową gwiazdę.

– I Janek mówi mi, ŻÓŁTODZIOBOWI: wiesz, mam na planie bardzo dużo propozycji, ale większość z nich jest zdecydowanie niedobra, a może nawet kiczowata – wspomina Domalik. – To ty musisz podjąć decyzję, które ci się przydadzą. Miał dystans do siebie jako aktora, niewielu wybitnych twórców stać na coś takiego.

Narzekał na zawód nie było tylko medialną pozą. Wątpliwościami dzielił się też w teatralnej garderobie.

– Też słyszałam te żale, kiedy spotkaliśmy się w Starym Teatrze – mówi aktorka Małgorzata Hajewska-Krzysztofik. – To zawód, w którym nie jest się panem sytuacji, trzeba się pogodzić, że to reżyser, producent wybiera cię do roli i mówi, co masz robić. A Nowicki był zbyt silną osobowością, żeby na to bezkarnie się zgadzać i akceptować. Poza tym w tę branżę wpisane są lata chudsze i tłustsze. A z jego pozycją i charakterem on zawsze chciał być zwycięzcą.

Linde-Lubaszenko, z którym od początku lat 70. występował na scenie Starego Teatru, opowiada, że Nowicki był aktorem poważnym i bezinteresownym, ale zdarzało się mu robić niewielkie żarty. Jego zdaniem Nowicki lubił iść przez życie z przyjemnością. I po aktorstwie spodziewał się więcej radości, a to ciężka praca. – Doskonale o tym wiedział i akceptował do czasu bez zastrzeżeń. Na pierwszych próbach lubił się rozsiąść, porozmawiać, zastanawiać. Tyle że po dziesiątym spotkaniu już go zaczynało to nudzić, bo o swojej postaci wiedział wszystko, a przed nim jeszcze kilka tygodni prób. I tego nie znosił. Radość wracała po premierze. Wiedział, że aktorstwo i przygotowanie spektaklu wymaga ciężkiej pracy, ale z latami miał coraz mniejszą ochotę ją wykonywać.

W pracy bywał nieustępliwy i trudny, bo kiedy mu coś nie pasowało, mówił o tym głośno. Reżyser i aktorzy musieli wytłumaczyć się ze swoich intencji. Przekonać Nowickiego albo się wycofać. – Kompromis? Takiego słowa nie było w jego słowniku – mówi Domalik.

To Wajdzie zawdzięcza rolę w filmowych „Popiołach”, ale też wielkie teatralne kreacje: Stawrogina i Rogożyna. A jednak niezdecydowanemu reżyserowi potrafił powiedzieć, że nauczy się roli, gdy ten nauczy się reżyserować.

– Ten zawód jest cudowny, wspaniały, wzniosły, ale też do dupy, bo z aktorami się nie jada, nie sypia, nie rozmawia – mówi kilka lat przed śmiercią w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” w Kielcach. – Można ich czasem podziwiać. Trudno nie zauważyć, jaki regres dotyka moją ukochaną profesję. Przecież to, co teraz oglądamy, w 80 procentach nie ma nic wspólnego z aktorstwem.

– Był przystojny, ale na jakiś sposób też oczywisty w swej urodzie – mówi krakowski krytyk Tadeusz Nyczek. – Żeby być wiarygodnym w innych rolach, musiał „tłumaczyć” role na swoją twarz. I robił to genialnie. Jak z rolą Stawrogina, jednego z największych potworów literackich, człowieka, który zgwałcił dziecko. I jak ma to zagrać facet o twarzy pięknego amanta. Wajda potrafił to z niego wykrzesać, zobaczyć w nim jakieś głęboko ukryte okrucieństwo. A Janek nie wahał się wejść w tę rolę, obnażyć przed publicznością. Powiedzieć: jestem gorszy, niż wam się wydaje.

KOWAL – KRAKÓW

BYŁ WIZYTÓWKĄ KRAKOWA, UBRANY W DŁUGI PŁASZCZ, SZALIK I NIEODŁĄCZNY KAPELUSZ przechadzał się po Rynku i okolicach. Przesiadywał w ogródkach, knajpkach, wrastał w kawiarniane krzesła. To w Krakowie skończył szkołę teatralną, debiutował w spektaklu „Zaproszenie do zamku” w Starym Teatrze w 1965 roku. Był z nim związany 30 lat.

Był bliskim przyjacielem innej ikony Krakowa – Piotra Skrzyneckiego, twórcy Piwnicy pod Baranami. Tworzyli malowniczą i nierozłączną parę. Jeden piękny, przystojny i wysoki; drugi przeciętny, niski, raczej brzydka; aktor i reżyser. Znali swoje słabe i mocne strony. Jeden drugiego doceniał, słuchał, szanował. Mówili o sobie z zachwytem. Jako duet tworzyli wspaniałą całość. Nie było tajemnicą, że Skrzynecki jest zafascynowany urodą młodszego kolegi.

– Janek jako człowiek kapryśny i równocześnie z fantastycznym wyczuciem wartości artystycznych był naszym recenzentem – mówi kompozytor Jan Kanty Pawluśkiewicz, filar Piwnicy pod Baranami. – Mówił wprost, co myśli o programach i występach.

Kiedy Skrzynecki zmarł w 1997 roku, Nowicki zaczął pisać do niego listy, felietony, poświęcił mu książkę.

– I okazało się, że ten twardziel jest strasznie sentymentalnym, uczuciowym facetem – mówi Tadeusz Nyczek.

Ale Jan Nowicki pomimo wrośnięcia w Kraków nigdy nie zapomniał, że urodził się i wychował na Kujawach. – Kiedy był młodym aktorem, wstydził się tego rodzinnego Kowala, ale im był starszy, tym mocniej tęsknił.

Edward Linde-Lubaszenko jest innego zdania: – Odkąd pamiętam, Janek zawsze podkreślał, że jest z Kowala. I robiło to na mnie wrażenie, bo Stary Teatr i Kraków w ogóle był pełen osób z awansu społecznego, jakichś chłopów ze wsi. Ale każdy zadzierał nosa, próbował udowodnić, że jest z bocznej linii Radziwiłów czy Czartoryskich. A Janek niczego nie udawał.

Po latach w Krzewencie obok rodzinnego Kowala zbudował dom, zaangażował się w lokalną działalność społeczną.

– Bardzo mu imponowało, że w Kowalu jest uznawany za swojego – mówi Nyczek. – Założył tam nawet zakład produkcji kapeluszy. Bo jako klasyczny amant miał obsesję, że łysieje i kiepsko to

znosił. Oczywiście interes padł, bo z Janka biznesmen był żaden, o czym doskonale wiedział i śmiał się z tego.

– Mieszkałem 50 lat w Krakowie i nigdy nie czułem się krakowianinem – mówi przed śmiercią. – Zawsze byłem człowiekiem z zewnątrz. Dlatego łatwiej było mi dostrzegać plusy tego miasta, ale też wysmiewać jego kołtuństwo i minusy. Bardzo mi to odpowiada, daje wolność. Dla mnie coś takiego jak prowincja w ogóle nie istnieje. Jeżeli ktoś jest z Kielc czy z Sieradza, a ma kompleks Warszawy lub Paryża, to oznacza, że ma prowincjonalny umysł. Można być Europejczykiem w Zduńskiej Woli i gnypem mieszkającym w centrum Londynu.



WYSYŁAŁ

NIESPOTYKANE

PROMIENIOWANIE, (...)

**PRAGNĘŁAM GO TAK BARDZO,
ŻE GOTOWA BYŁAM SPALIĆ
ZA SOBĄ WSZYSTKIE MOSTY**

MÁRTA MÉSZÁROS

NECIERPLIWY PROWOKATOR

PRZYJACIELE MÓWIĄ: BYŁ ŻYCIEM, ENERGIA I PASJĄ. Lubił przeklinać, nosić kapelusze i życiowe zmiany. Nie znosił stagnacji i zdrowego trybu życia. Był konserwatystą, który nie znosi rutyny.

– Dobrze czuł się w drodze. Od życia oczekiwał zmian, niespodzianek. Miał przyjaciół, ulubione miejsca, zwyczaje, ale zasadniczo nie przyzwyczajał się do niczego – opowiada Domalik. – Był tak skupiony na sobie, że jego kosmos wędrował razem z nim.

Jego wizytówką był śmiech. To nim, nawet jak powiedział coś przykrego, rozpuszczał w rozmówcy złość, smutek. Rozmowa z nim była ciągłą szaradą, flirtem, mówił coś i obserwował, jaki osiągnie efekt. Lubił komentować wydarzenia polityczne i społeczne. Bywał przenikliwy, ale też chamski i złośliwy.

– Lubił się drażnić, prowokować, wsadzać kij w szprychy – mówi Domalik. – Robił to bardzo świadomie. I czekał na efekt, jaki wywołają jego słowa. Ten efekt był mu potrzebny. Potrzebował też przeciwstawienia się światu. Bliska była mu maksyma: nie idź z tłumem, bo nigdzie nie dojdiesz. Oczywiście płacił za to cenę, słuchał nieprzyjemnych komentarzy na swój temat, ale kompletnie się tym nie przejmował.

Najwybitniejsze role zagrał w teatrze, ale to kino odpowiadało jego charakterowi. – Nie lubił pośpiechu, ale kochał zmiany, był ciekawy świata i ludzi, a to zapewniał film – mówi Domalik. – Stary Teatr był jego drugim domem, ale próba o 10.00 i wieczorem spektakl, codziennie z tymi samymi ludźmi, były dla niego koszmarem. Film to inna energia.



Kadr z filmu
 „Sanatorium pod klepsydrą” (1973)
 w reż. Wojciecha Jerzego Hasa.
 Na zdjęciu od lewej: Jan Nowicki
 i Ludwik Benoit

Przez lata nie miał w krakowskim mieszkaniu telefonu. Kiedy goście z zagranicy czy Warszawy dziwili się, że aktor tej klasy nie ma stałego kontaktu ze światem, Nowicki odpowiadał: – To żaden problem, bo ten, kto naprawdę będzie chciał do mnie dotrzeć, i tak to zrobi. A ci, którzy mają niepoważne propozycje, utkną w okolicy Kielc.

– I taki miał stosunek do życia: nie należy zbyt poważnie podchodzić do decyzji, nie napinać się, żadnych siłowych rozwiązań – mówi Domalik.

Jego pasją był sport. Ale nie było w tym żadnego dogmatyzmu. Przez lata kibicował Wiśle Kraków, ale kiedy przeniósł się do Kielc, chodził na mecze Korony. Sam próbował różnych sportów, ale nigdy za długo.

– Był niecierpliwy, lubił szybko mieć owoc – wspomina Lubaszenko. – W pierwszym etapie, kiedy zaczynasz nowy sport, robisz największe postępy. Ale kiedy przechodzisz do następnego, trzeba wykonać tysiące powtórzeń, żeby wejść na wyższy poziom i to już było nie na Janka nerwy.

– Chciał szybko dojść do efektu. Chciał celebrować momenty, które sprawiają mu przyjemność – mówi Małgorzata Hajewska-Krzysztofik.

POLSKI ALAIN DELON

PRZEZ LATA BYŁ FILMOWYM I SCENICZNYM AMANTEM. W życiu prywatnym wiedział, że jest przystojny i ma powodzenie u kobiet. Czterokrotnie żonaty, kolejne związki oznaczały przeprowadzki (Budapeszt, Warszawa, Kielce).

Przez ponad 20 lat pozostawał w związku z węgierską reżyserką Mártą Mészáros. Został zaangażowany przez nią, z pomocą Wajdy, do filmu „Dziewięć miesięcy” (1976). Mészáros napisała o nim: „Wysyłał niespotykane promieniowanie, promieniowała z niego siła i tajemniczość (...), pragnęłam go tak bardzo, że gotowa byłam spalić za sobą wszystkie mosty”.

Oboje deklarowali, że to otwarty związek: byli razem, czasem osobno. Mészáros mówiła, że wolność, jaką sobie dają, jest piękna, lecz pełna trudnych chwil. Tylko dla silnych ludzi. Nowicki nigdy jej niczego nie obiecywał: ani małżeństwa, ani kariery, ani pieniędzy, ani rodziny. Sam również o nic nie prosił.

– Jan to był wielki aktor, amant i podrywacz w jednym. Pięknym niczym Alain Delon. Przez lata aktorstwo mu nie przeszkadzało, bo pomagało w uwodzeniu kobiet – śmieje się Tadeusz Nyczek. – Kiedy z czasem tego nie potrzebował, zaczął wypierać się też aktorstwa. Zresztą nie on jeden. Kiedyś to samo robił Andrzej Łapicki, a teraz Bogusław Linda.

OSTATNI ETAP NA KUJAWACH

Od lat powoli żegnał się z aktorstwem. Mówił, że to ciężka fizyczna praca: trzeba mieć energię, głos, sprawność. Nie miał już sił.

Ostatnią główną rolę zagrał u Jacka Bławuta w 2008 roku w filmie „Jeszcze nie wieczór”. Zresztą właściwie swoje alter ego – starego aktora Jerzego, który kiedyś zagrał Wielkiego Szu. Podupadły na zdrowiu, przyjeżdża je podreperować do Domu Aktora w Skolimowie.

– Przyznawał mi się, że nie ma już siły do głównych ról, dlatego z przyjemnością od jakiegoś czasu gra mniejsze. – I doskonale wiedział, że przyczynił się do tego haniebnie niehigieniczny tryb życia, jaki prowadził przez pół wieku – śmieje się Domalik. – Był jednym z najbardziej niezależnych osób, jakie znałem. Płynął przez życie, jak chciał. Kiedy poczuł, że wchodzi w ostatni etap życia, chciał go spędzić na rodzinnej ziemi, na Kujawach. I tak zrobił.

Ostatnią rolę zagrał w „Liczbie doskonałej” Zanussiego, był Żebrakiem. Nie chciał nic większego, to mu wystarczyło, był świadomy swoich ograniczeń. Zanussi pamięta jeszcze ich spotkanie z okazji urodzin reżysera: – Janek recytował wiersze księdza Twardowskiego. Znałem tę poezję, wiersze księdza były dla mnie pełne skromności, ciche i piękne. A Janek znalazł w nich bunt i wypowiedział go ze sceny. Potem szepnął mi, że już więcej nie będzie grać. Że za bardzo szanuje swój zawód, żeby grać kulawo. I wrócił do siebie.

– Był mądrym i bardzo świadomym siebie mężczyzną. Ludziom wybaczał słabości, jakieś upadki, wpadki, bo wiedział, że on też ma swoje dobre i złe strony. Ale nie znosił cwaniactwa i nieuczciwości. Unikał takich ludzi – mówi Edward Linde-Lubaszenko. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl